# Legendarna grupa rockowa SBB w Warszawie

*Korespondencja muzyczna*

**Piotr Rajszys (tekst i fotografie)**




Józef Skrzek, podczas koncertu zespołu SBB w Warszawie, fot. Piotr Rajszys.

30 czerwca 2017 roku, w amfiteatrze Bemowskiego Centrum Kultury w Warszawie, miał miejsce niecodzienny koncert, legendarnej grupy jazz-rockowej SBB, założonej przez Józefa Skrzeka. Zespół wystąpił w oryginalnym składzie: Józef Skrzek, Antymos Apostolis i Jerzy Piotrowski. Gościnnie zagrał z nimi światowej klasy amerykański saksofonista Chris Potter.

Amfiteatr Bemowskiego Centrum Kultury, to fantastyczne miejsce dla tego rodzaju koncertów. Świadczą o tym przybyłe na koncert tłumy *funów* grupy SBB, której legenda jak widać nie gaśnie.

## Fotoreportaż




DYNAMO


Zildjian
















moog








Marshall
Marshall

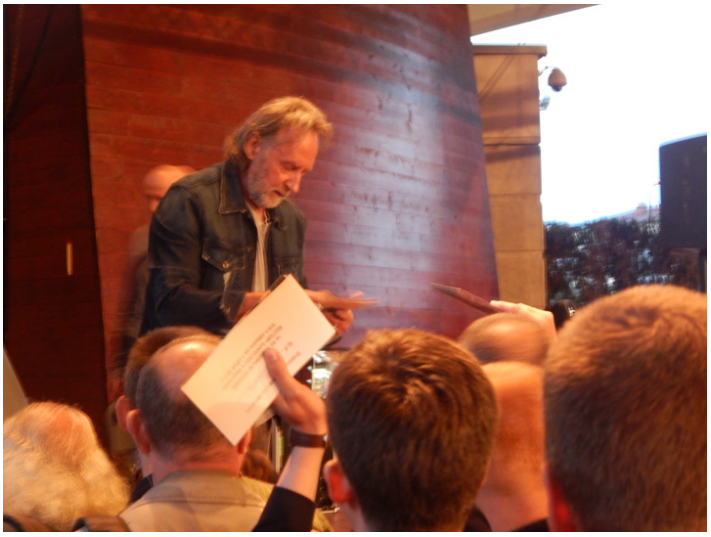



Marshall
Marshall


Marshall
Marshall


Marshall
Marshall





Próbka muzycznych emocji podczas koncertu:

https://www.youtube.com/watch?v=V-gc1JQC0tk

Więcej informacji na temat na temat zespołu na stronie Bemowskiego Centrum Kultury: http://bemowskie.pl/-wydarzenie/sbb-i-chris-potter/

---

# Rozmowa o poezji



Julia Hartwig, Warszawa 2006 r. fot. Włodzimierz Wasyluk.

14 lipca 2017 roku, będąc u swojej córki Danieli w Gouldsboro w Pensylwanii, zmarła poetka, eseistka i tłumaczka, Julia Hartwig. Od 1954 roku była żoną poety i tłumacza Artura Międzyrzeckiego, zmarłego w 1996 roku. Obydwoje byli parą wybitnych twórców, którzy wnieśli duży wkład w rozwój współczesnej polskiej literatury.

Przypominamy rozmowę Floriana Śmieji, poety emigracyjnego, współtwórcy słynnej londyńskiej grupy poetyckiej „Kontynenty”,

z Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckiem, która miała miejsce w Warszawie, w przeddzień wyborów 1989 roku. Zmiana sytuacji społeczno-politycznej w Polsce pociągnęła za sobą zmiany sytuacji poetów i poezji. Historyczna już rozmowa może być więc przyczynkiem do analizy nurtów literackich w powojennej literaturze, jest przekrojowa i obrazuje kondycję współczesnej poezji oraz jej różnorodnych uwarunkowań.

W 1989 roku zostało założone Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, które kontynuowało ideę Związku Zawodowego Literatów Polskich, powstałego z inicjatywy Stefana Żeromskiego. Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki byli współtwórcami Stowarzyszenia i bardzo zaangażowali się w jego działalność. W rozmowie pojawia się jakże aktualna wówczas sprawa powstania tej organizacji, gdyż dawała ona nadzieję na pełne poparcie dla polskich poetów i ich indywidualnej twórczości, zarówno w kraju, jak i za granicą. Bo literatura polska jest przecież jedna.

Redakcja

*Wywiad wszedł w skład książki Floriana Śmieji p.t. „Siedem rozmów o poezji", wydanej przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.*



Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki, fot. Cz. Czapliński.

*Naród bez pamięci jest bezsilny,  zaś bez autorytetów moralnych jest bezradny (Artur Międzyrzecki).*

**Florian Śmieja: Będziemy mówili o poezji powojennej widzianej z perspektywy Kraju. Ja byłem na Emigracji w czasie, kiedy  w Polsce nastąpiły zmiany polityczne, a w konsekwencji również kulturalne, a więc i literackie. Niech mi Państwo opowiedzą, jak wyglądały pierwsze lata po wojnie w poeżji polskiej?**

**Artur Międzyrzecki:** Pierwsze lata powojenne to była właściwie współobecność trzech pokoleń poetyckich. Działali jeszcze Skamandryci. Na Zachodzie obecni byli wtedy Lechoń, Wierzyński, Wittlin i Baliński. W Kraju – był Iwaszkiewicz, a po powrocie również Tuwim i Słonimski. Pokolenie Skamandrytów było więc jeszcze w komplecie. Z poetów pierwszej i drugiej Awangardy działali w Polsce Przyboś i Miłosz, który dopiero na początku lat pięćdziesiątych wybrał, jak to wtedy mówiono, wolność. Niewątpliwie pisali przywódcy tych dwu szkół. Zarówno więc na Zachodzie, jak i w Polsce przedstawiciele tych trzech formacji byli współobecni.

Nastąpił wtedy debiut tzw. pokolenia wojennego, takich poetów jak Tadeusz Różewicz czy Tadeusz Borowski, który później okazał się równie świetnym prozaikiem. Okres Stalina spowodował późniejsze objawienie się Zbigniewa Herberta, który wprawdzie jest nieco młodszy, ale także należy właściwie do wojennego pokolenia kombatantów. Nieporozumieniem jest wpisywanie go do tzw. pokolenia Współczesności. Tymoteusz Karpowicz, który działał we Wrocławiu, reprezentował tzw. poezję lingwistyczną. Obecne były poetki: Wisława Szymborska, Julia Hartwig, Anna Kamieńska. Koło roku 1956 mieliśmy debiut Jarosława M. Rymkiewicza współtworzącego tzw. nurt neoklasyczny. Debiutował Stanisław Grochowiak, również przypisany do pokolenia Współczesności. Nie podaję kompletnych list, tylko nazwiska poetów wystarczająco

wyrazistych, żeby określić co się działo.

Następnie jest Nowa Fala, a przede wszystkim dwaj poeci: Stanisław Barańczak i Ryszard Krynicki, przyjaciele z Poznania, zajmujący niewątpliwie pierwszoplanowe pozycje. Wymieńmy jeszcze Adama Zagajewskiego, Juliana Kornhausera. Wcześniej, koło roku 1954-55, Słonimski stał się niejako wyrazicielem opozycji obywatelskiej. Aliansе układały się inaczej, nie wynikały z pokoleniowych przynależności. Przyjaźnie, które łączą poetów są i były związane z pewnymi postawami ogólniejszymi, Barańczak np. jest takim modelowym poetą o wspaniałej postawie moralnej. To nie są tylko sprawy poetyki. (...)

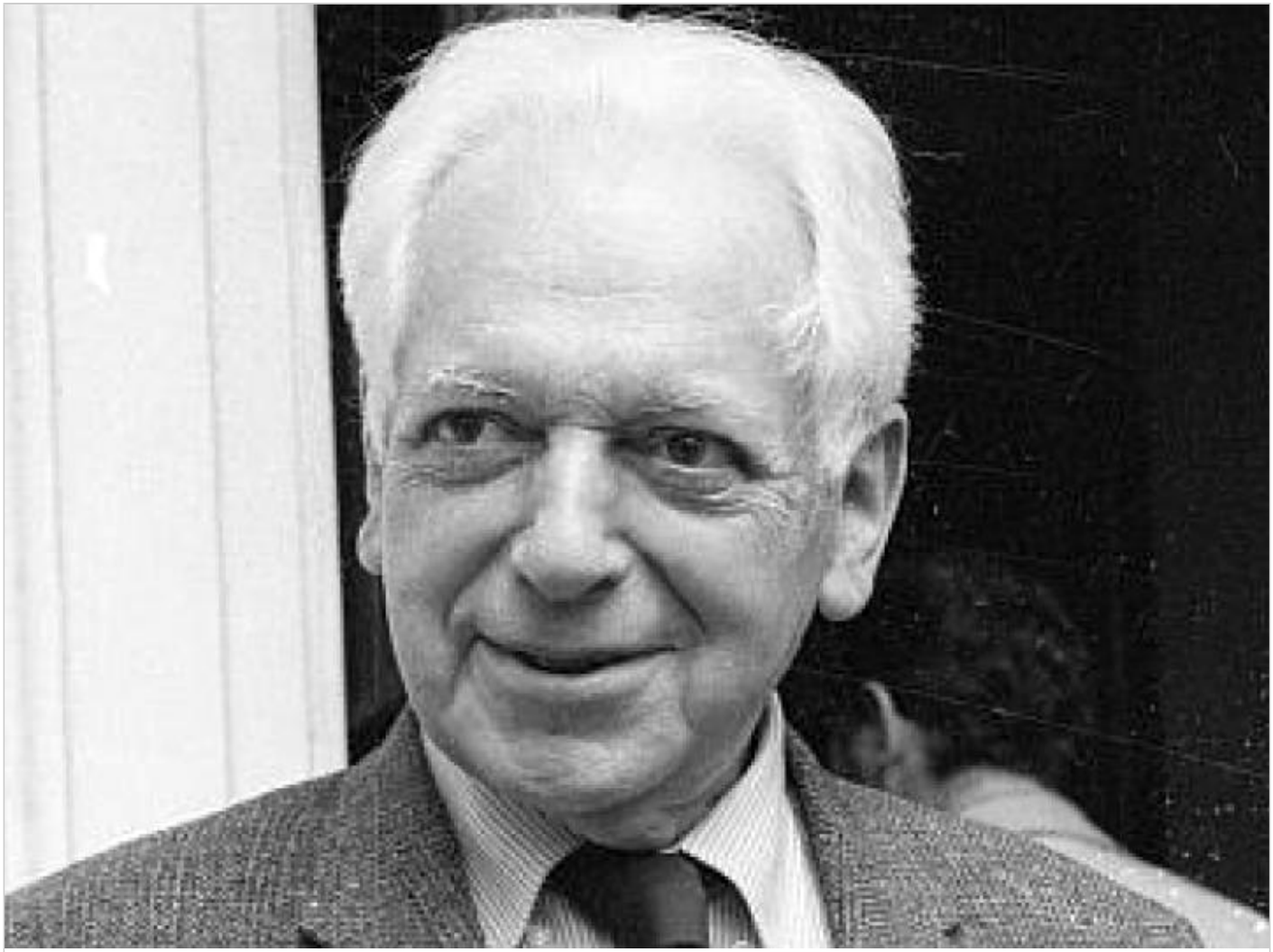
**FS: Dorzućmy jeszcze nazwisko Jana Brzękowskiego z Awangardy Krakowskiej i Mariana Czuchnowskiego.**

**AM:** Skoro mowa o okresach, o grupach poetyckich, wtedy pomija się nawet i znaczące nazwiska. Gdy mówiliśmy o pierwszej Awangardzie, zapomnieliśmy o Janie Brzękowskim, kiedy o drugiej, o Jerzym Zagórskim. Powojenne obecności poetyckie to również Wacław Iwaniuk i rozproszona później po świecie grupa londyńskich poetów, do której i Pan należał. To Adam Czerniawski, Bogdan Czaykowski czy Jerzy Sito, od lat działający w Kraju. Wśród pokolenia Współczesności nie wspomnieliśmy o Erneście Bryllu. Nie wspomnieliśmy też o legendach poetyckich, a one są nośne. Były przecież meteory,

które przeleciały przez niebo literatury. Mamy pisarzy, którzy stali się legendą. Wszyscy czterej skończyli tragiczną śmiercią. Mówię o Marku Hłasce, o Andrzeju Bursie, Rafale Wojaczku, o Edwardzie Stachurze. Trzeba o nich pamiętać. Mają ogromne oddziaływanie wśród młodych. I jeszcze o niesłychanym zjawisku odrębnym, autorze kilkunastu tomów poezji, męczenniku etymologii; który jak gdyby stworzył mówiony idiom poetycki, Mironie Białoszewskim. W innych wypadkach mówimy o kolokwializmach, w tym wypadku zachodzi tożsamość wyrazu poetyckiego i nowych warstw językowych. To był słuch językowy absolutny – i niebywała wrażliwość na szczegóły życia. I nie mamy do czynienia z czymś barbarzyńskim, Miron był zafascynowany poezją średniowieczną, Szekspirem i polską poezją romantyczną. Dał temu wyraz w swoim słynnym teatrze w kuchni. Później stał się ten teatr modny i teraz dopiero przedstawienia Mirona wystawiane są po raz wtóry, już w dużych teatrach, na dużej scenie. Miron Białoszewski był człowiekiem oddzielnym, stronił od życia publicznego. Był jednak solidarny ze środowiskiem. Kiedy dowiedział się np., że poeci nie biorą udziału w Warszawskiej Jesieni Poetyckiej, bo usunięto z tego festiwalu źle widzianych autorów, przyłączał się do bojkotu i – jak to określał – ogłaszał strajk. Ten samotny wędrowiec po Warszawie był zawsze tożsamy z tym, co robił. Fascynacja poezją średniowiecza i Szekspirem łączyła się z urzeczeniem wywieranym przez wielkomiejski folklor. Tworzyło to niepowtarzalną jedność z życiem Mirona. Poza tym wielu

poetów na świecie stara się o osiągnięcie ideału ubóstwa, tzw. poety ubogiego. W Stanach Zjednoczonych i zamożnych społeczeństwach Zachodu zjawisko jest wyraźne, to staranie się o obecność poza establishmentem, nawet literackim. Ale mało komu to się udaje. Miron to osiągnął. Był to człowiek nie poddający się żadnym blichtrom.

**Julia Hartwig:** Stosunkowo mało mówiliśmy o tradycjach poetyckich, na które powołują się nasi poeci, a poruszyliśmy właśnie przy Białoszewskim, który z pozoru jest taki kolokwialny i zdawałoby wyrasta z gleby języka jak samorodek. Przy nim mówiliśmy, i słusznie, o poezji średniowiecznej i romantycznej. Inni, jak Jastrun czy Przyboś, nie tylko w swojej twórczości, ale i w esejach poetyckch, ukazywali drogi, jakie łączyły ich z kręgiem oddziaływania Norwida i Mickiewicza. Podobnie bez zaplecza poezji barokowej nie do pomyślenia jest twórczość Grochowiaka, czy Jarosława Marka Rymkiewicza. Pozostaje tu cała ogromna strefa do omówienia.



Artur Międzyrzecki, fot. dzieje.pl

**AM:** Przypomniało mi się spotkanie w Paryżu, w połowie lat sześdziesiątych. Zetknęły się tam po latach różne światy, kiedy na zaproszenie wydawców antologii przyjechali Wierzyński, Miłosz, Przyboś, Iwaszkiewicz, Ważyk – dołączył do nas Herbert, który akurat bawił w Paryżu. Konstanty Jeleński i Brzękowski pełnili honory domu. Może o kimś zapomniałem. Ale to było spotkanie niezwykłe, bo było spotkaniem przedstawicieli poezji polskiej. Niektórzy z tych poetów po raz pierwszy się

poznali. Pamiętam, że któregoś wieczora toczyli rozmowę Wierzyński z Przybosiem. Coś mnie tknęło i zapytałem: – Czy panowie się znali przed wojną?. – Ależ nie. Poznaliśmy się dopiero teraz. Te światy, bardzo różne, współobecne były w tym okresie.

W latach 1956-58 znajdowało to również wyraz w prasie literackiej. To były żywe pisma, które, niestety, szybko skończyly żywot. Zanim to nastąpiło, przeżywaliśmy okres integracji w życiu kulturalnym, żeby istniały np. fakty poetyckie, istnieć musi pewna integracja środowiska literackiego. Powiedział onegdaj J.J. Szczepański, prezes nowozałożonego Stowanyszenia Pisarzy Polskich, że związki literatów nie są potrzebne literaturze, a szczególnie poezji. Natomiast poetom, tak. Ktoś musi ich drukować, muszą być jakieś hierarchie, jakieś osoby i instytucje, do których ma się zaufanie. Poza tym, w tradycji europejskiej, a w polskiej w szczególności, jest kawiarnia literacka, ognisko, gdzie ludzie się schodzą, mogą się zobaczyć. To wszystko znikło właściwie pod koniec lat sześćdziesiątych i ze stanem wojennym w 1981 r. Nastąpiło wówczas bardzo dotkliwe zniszczenie struktur życia literackiego, stowarzyszeń, czasopism, instytucji. Trudno to potem odbudować. Oczywiście, była taka przerwa w okresie stalinowskim, ale wtedy było to związane z ogólniejszym dramatem. Teraz było to zniszczenie struktur odbudowanych, tradycyjnych. Wobec tego powstał drugi obieg. I rozbudowało się czasopiśmiennictwo wynikłe z odporu

społecznego. Obecnie stoi z kolei przed nami sprawa integracji ogólnej, przede wszystkim autentycznego zespolenia literatury powstającej w Kraju i za granicą. Przecież to jest jedna literatura. W 1968 roku, kiedy mówiłem o niepodzielnej kulturze, stałem się czarną owcą. Ale jak daleko jesteśmy dziś od tamtych czasów! Jednakże – powtarzam – trudno odbudować to, co zniszczono. Nadal nie mamy autentycznego czasopiśmiennictwa literackiego, a Stowanyszenie, które powstało, a którego Pan jest członkiem, nie ma nawet pokoju, ani maszyny do pisania. Trzeba wszystko zaczynać od początku.

**FS: Pani Julio, jak Pani się zapatruje na możliwości odbudowaniatego zdezintegrowanego środowiska poetyckiego? Pamiętam jeszcze Pani wieczór poetycki, nieomal konspiracyjny, który odbył się przy kościele na Nowym Rynku w czasie trwania stanu wojennego.**

**JH:** Teraz wydaje mi się to wydarzeniem bardzo odległym, niemal historycznym, jesteśmy już na innym etapie. Zintegrowanie nie będzie wcale rzeczą łatwą, mimo że ludzie garną się do tworzenia wspólnoty pisarskiej, która zajęłaby należne sobie miejsce w naszej społeczności. Bardzo tego potrzebują. Trudności organizacyjne są ogromne, nie mamy jak dotąd własnego kąta, gdzie moglibyśmy się zebrać. Ale myślę, że i to osiągniemy. Natomiast integracja wewnętrzna to już coś innego, to wykracza poza przeszkody techniczne. Nie może ona

nastąpić tylko na zasadzie towarzyskiej czy przyjacielskiej. Wielki problem to – gdzie będziemy drukowali i jak bdzie wyglądała prasa literacka. Mówiło się na spotkaniu pisarzy, że w Polsce czasopiśmiennictwo jest opanowane przez redaktorów i zespoły powołane do życia w szczególnym okresie i w szczególnym celu. Zadaniem tych zespołów było dokonanie pewnego rodzaju rewolucji kulturalnej, wyłonienie pewnej elity w miejsce starej, nieposłusznej, która reprezentowała ideały tradycyjnie przyświecające literaturze polskiej. W to miejsce próbowano stworzyć pseudowartości podporządkowane dezintegrującej polityce kulturalnej i o wyraźnie politycznym i antydemokratycznym charakterzrze. Usiłowano podważyć prawdziwe hierarchie pisarskie, atakowano pisarzy cieszących się uznaniem społecznym i drukujących często swoje utwory w prasie drugiego obiegu. W tygodnikach oficjalnych pojawiły się nazwiska często nie związane z literaturą, proweniencji czysto dziennikarskiej. Bez autentycznych czasopism literackich, bez wymiany opinii, życie literackie nie może być odbudowane. Mam nadzieję, że potrafimy to zrobić. Przychodzą tu na myśl inne jeszcze okoliczności: jest jak gdyby pewna lekkomyślność w traktowaniu literatury i kultury jako całości, jest skłonność do hołdowania zjawiskom najwybitniejszym, nie uwzględniając i nie wspomagając całokształtu zjawisk, na którym cały gmach kultury się opiera. Powtarza się trzy, cztery nazwiska, reszta pozostaje w cieniu. Dotyczy to różnych dziedzin sztuki, wyraźnie obserwuje się to rónież w poezji, która jest różnorodna i ma

zasięg o wiele rozleglejszy niż tych kilka dzieł „firmowych". Mam tu pewne żale do krytyków i historyków literatury, że nie starają się brać udziału w ustaleniu pawdziwcej hierarchii literackiej, w bronieniu pisarzy zagrożonych, szkalowanych lub przemilczanych, bo choć literatura w końcu sama się obroni, trzeba na to czekać zbyt długo, krzywdząco długo. Krytycy wycofali się jak gdyby na pozycje akademickie, a ich bezpośredni udział w odbudowie życia umysłowego byłby bardzo ważny.

Druga sprawa to miejsce pisarza w tym, co się w Polsce aktualnie dzieje. Kiedy pisało się do drugiego obiegu, wydawalo się, że wszystko, co się tam publikuje, powinno być niesłychanie ważkie z punktu widzenia społecznego i moralnego, bo skoro ludzie narażają się drukując te teksty, powinny być one godne takiego ryzyka. Mogło to być czasem paraliżujące dla autora, czasem stymulujące, cała bowiem strefa twórczości – choćby wiersze liryczne – ulegała autorskiemu samoograniczeniu. Jesteśmy nadal w podobnej sytuacji, choć minął już okres drugiego obiegu. To jednak będzie się powoli zmieniało. Niestety, oficjalne pisma literackie mają, jak już wspomniałam, nadal tę samą obsadę, co w okresie stanu wojennego, i pisarze, którzy z nimi nie współpracowali, nadal wstrzymują się od przesyłania tam materiałów. Pozostaje „Tygodnik Powszechny", ale jest to czasopismo o określonym profilu i problematyce, z niewielkim stosunkowo marginesem na tzw. literaturę piękną. Miejmy nadzieję, że nowopowstałe Stowarzyszenie Pisarzy

Polskich potrafi sprostać zadaniom, jakie przed nim stoją, również w tej dziedzinie.

**FS: Na sali zauważyłem wielu młodych ludzi…**

**AM:** Owszem. Od nestora literatury po najmłodszych, z Kraju i z Zagranicy. Pan jest członkiem komitetu założycielskiego, członkiem założycielem jest również Czesław Miłosz i Gustaw Herling-Grudziński. I pisarze z Kraju od Andrzeja Kuśniewicza i Juliana Stryjkowskiego, aż do młodych poetów krakowskich, Bronisława Maja czy Jana Polkowskiego. Oczywiście, myślę, że i Adam Zagajewski i inni będą członkami tego Stowarzyszenia. Stanisław Barańczak został wybrany członkiem Zarządu przez Walny Zjazd Założycielski, i to też jest fakt znamienny. Od kilkudziesięciu lat z przerwami toczy się rodzaj wojny, którą administracja wydała inteligencji polskiej, zwłaszcza środowiskom twórczym, pisarzom. Przecież nie było takich przywódców, którzy by nie pomstowali na kawiarnię literacką. Dlatego, że tzw. kawiarnia pseudonimowała opinię publiczną. Istniała w Polsce tradycja kawiarni literackiej, tradycja na przykład Honoratki i innych kawiarń związanych z Powstaniem Listopadowym i Styczniowym. Dzisiaj wśród politologów używane jest pojęcie tzw. dziennikarstwa mówionego. Tego żaden reżim totalitarny nie lubi. l wojna przeciw inteligencji twórczej ustawała w pewnych okresach, w 1956 czy po 1970, kiedy następowały zmiany ekip, ale ten sam Gierek, który wołał,

żeby mu pomóc, kilka lat wcześniej też złorzeczył tzw. kawiarni literackiej. Ale dlaczego o tym mówię? Dlatego, że wojna przeciw inlcligencji twórczej osiągnęła swoje apogeum w czasie stanu wojennego, kiedy zlikwidowano wszystkie czasopisma i kiedy powstały inne. Nie waham się twierdzić, że niektóre z tych nowozałożonych czasopism prowadzone były przez pseudoliteracką kanalię, bo nie ma na to innego określenia. Ci ludzie zajmowali się przede wszystkim personalnymi atakami przeciw pisarzom. To było ich zadanie, wykonują je do dzisiaj. Więc oczywiście jeżeli potrwa tendencja reformatorska, to i to się skończy, ale proszę zwrocić uwagę, że oni nigdy dotąd tego stanu wojennego nie odwołali. Więc czasopisma literackie się nie zmieniły. Stowarzyszenie, któreśmy założyli, jeszcze nie jest zarejestrowane. Oczywiście na najwyższym szczeblu nie będzie przeszkód, ale dlatego o tym mówię, że wojna jest również wojną psychologiczną, polega na odbieraniu otuchy. My mówimy i trzeba tak mówić, że nic nie może złamać poety, pisarza, że milczeniem nie można go zabić. Ale jednak można. Można w każdym razie bardzo osłabić jego wenę. Mówimy, że się pisze do szuflady. Doświadczenie pokazało, że szuflady bywają puste. Muszą istnieć tzw. motywacje społeczne. Jest takie okrcllenie angielskie *lack of motivation”.* Jeżeli powstaje taka sytuacja, to może nastąpić milczenie, przejście do działań politycznych. Ja nie mówię, że ci autorzy nie będą działać. Będą bardzo pożytecznymi działaczami społecznymi. Ale dla literatury okażą się często straceni, dlatego, że po prostu nie wystarczy im sił, żeby ją

kontynuować w milczeniu, niepewności czy rzeczywiście jest to konieczne, kiedy jest tyle naglących potrzeb społecznych. I to jest oczywiście bardzo złe.



Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki na tarasie Domu Pracy Twórczej Literatów w Oborach, fot. Andrzej Szypowski, 12 X 1959 r. Zbiory Biblioteki Związku Literatów Polskich

Narody istnieją dzięki księdze i kulturze. Przetrwanie związane

jest nie z państwem, lecz z kulturą narodową. Ktoś powiedział, że nie byłoby Polski, gdyby nie Mickiewicz, Sienkiewicz, Żeromski czy Wyspiański. To jest lapidarnie powiedziana część istotnej prawdy. Dzisiaj względy moralne są niesłychanie ważne i po to prowadzi się wojnę przeciw inteligencji, żeby zniszczyć autorytety moralne w społeczeństwie. Zniszczenie autorytetów moralnych czyni naród bezbronnym. Powiada się, że naród bez pamięci jest bezsilny, zaś bez autorytetów moralnych jest bezradny. I na tym polega ta wojna. Przecież myśmy musieli walczyć o programy szkolne, gdzie umniejszano literaturę i umniejszano historię. Przecież cała historia Polski jest bardzo literacka, a literatura polskajest bardzo historyczna i polityczna. To jest ściśle związane. Myśmy się kiedyś zastanawiali nad tym – był wtedy Miłosz, był Zagórski i Ważyk – na takiej debacie w Łomży o poezji: co ją znamionuje? I doszliśmy do wniosku, że znamionuje ją wyostrzone poczucie historii. Poczucie toczącej się historii politycznej. To jest znamienne. Nie ma poety polskiego nietkniętego przez wydarzenia i to właśnie miał chyba na myśli Miłosz nazywając poetę polskiego barometrem. Ciekawe, że w stanie wojennym były ataki na poezję romantyczną ze strony administracji państwowej. Dzisiaj nie ma takich rozróżnień. Bo opozycja demokratyczna łączy w sobie tradycje organicznikowskie i tradycje romantyczne w sensie moralnym. Co do wojny z inteligencją twórczą: ta wojna musi być skończona żeby stworzyć normalne środowisko literackie, które by pozwoliło na normalne spory w obrębie literatury, na

normalne debiuty, i żeby oddać sprawiedliwość temu, kto na to zasługuje. Jednym słowem: żeby ustalić hierarchię wartości.

**FS: Rozmawiamy w Warszawie w przeddzień wyborów – o poezji…**

**AM:** My jesteśmy obydwoje, Julia i ja, członkami Komitetu Obywatelskiego Solidarność. Część tego komitetu towrzy tzw. komisję kultury. Mówię o tym, bo pewne integracje personalne zostały dokonane, ale to nie zastępuje ogólnokrajowych instytucji literackich. Nam próbowano serwować, zamiast normalnego życia kulturalnego, rzeczy spektakularne i skandaliczne, np. na gruzach Związku Literatów miała być powołana administracyjnie Akademia. To tylko jeden przykład budowania fasad zamiast prawdziwego życia. I to musiało się skończyć, tak, jak się skończyło.

**JH:** Poruszyliśmy dużo problemów, dotknęliśmy szereg bolączek atakże wspomnieliśmy o niektórych naszych nadziejach.

Warszawa, wiosna 1989.

*Florian Śmieja: „Siedem rozmów o poezji", wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.*

**Recenzja książki „Siedem rozmów o poezji" ukaże się na**

**Culture Avenue w czwartek 27 lipca 2017 roku.**

**Julia Hartwig,** poetka, eseistka, tłumaczka poetów francuskich i amerykańskich, urodziła się w Lublinie w 1921 roku, zmarła w 2017 roku w Pensylwanii. Podczas wojny była łączniczką A.K. i uczestniczką podziemnego życia kulturalnego. Studiowała filologię polską i francuską na Uniwersytecie Warszawskim, Katolickim Uniwersytecie w Lublinie i w Paryżu. W 1954 roku poślubiła poetę i tłumacza, Artura Międzyrzeckiego. W latach 1970–1974, razem z mężem przebywała w Stanach Zjednoczonych, będąc uczestnikiem *International Writing Program*, a następnie wykładowcą Drake University. Prowadziła też wykłady na Uniwersytecie w Ottawie (1971) i Carleton University (1973) w Kanadzie. W 1979 roku ponownie przebywała w USA na zaproszenie Departamentu Stanu. W 1989 roku była członkiem Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność" Lechu Wałęsie. Była członkiem Związku Literatów Polskich (1945–1983, w Zarządzie Głównym w latach 1980–1982), Polskiego PEN-Clubu (od 1956), Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (1989, wiceprezes w latach 1990–1999). Od 2008 była przewodniczącą jury Nagrody Mediów Publicznych Cogito w dziedzinie literatury pięknej. W 1995 roku powstał o poetce film dokumentalny pt. *Julia Hartwig* w reżyserii Adama Kulika i według jego scenariusza, a w roku 2003 następny pt. *Ułamki codzienności. Julia Hartwig* (scenariusz i

realizacja: Elżbieta Rottermund). W 2014 X Zjazd Stowarzyszenia Pisarzy Polskich wybrał ją na honorowego Prezesa Stowarzyszenia, a w październiku 2014 roku otrzymała Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborkiej za książkę „Zapisane". W 2015 roku Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu przyznał jej tytuł doctora *honoris causa*.

Swoje wiersze i artykuły ogłaszała w pismach: „Odrodzenie", „Nowa Kultura", „Świat", „Nowe Książki", „Poezja", „Tygodnik Powszechny", „Twórczość", „Kresy", „NaGłos", „Zeszyty Literackie", „Odra", „Więź", „Kwartalnik Artystyczny".

Jej główne książki poetyckie to „Wolne ręce" (1967), „Chwila postoju", „Dwoistość" (1971) i" Obcowanie" (1987). Monografie: „Apollinaire" (1961) i „Gerard de Nerval" (1973). Autorka „Dziennika amerykańskiego" (1980).

**Artur Międzyrzecki,** polski poeta, tłumacz literatury francuskiej i anglosaskiej, autor słów piosenek, działacz społeczny i polityczny, urodził się w Warszawie w 1922 roku, zmarł w 1996 roku tamże. Po wybuchu II wojny znajdował się we Lwowie, skąd został w 1940 roku zesłany przez Sowietów do Kazachstanu. W 1942 roku wstąpił do Armii Polskiej. Następnie jako żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie odbył cały szlak bojowy 2 Korpusu (Kampania włoska i Monte Cassino). Debiutował wówczas zbiorem poetyckim „Namiot z Kanady".

Studiował w Bolonii i w Paryżu (literatura, nauki polityczne). Po powrocie do Kraju zamieszkał w Warszawie (1950). W latach 1956–1958 współredaktor „Nowej Kultury”, w latach 1965–68 „Poezji”. Publikował na łamach tygodnika „Świat”. W latach 1970–1974, razem z żoną, Julia Harwig, przebywał w USA. W latach siedemdziesiątych uczestniczył w pracach Centrum Dialogu (*Editions du Dialogue*) Księży Pallotynów w Paryżu. W latach 80. wspierał Solidarność.

Wybory wierszy ukazywały się w latach 1971, 1979, 1980, 1989. Podstawowy dorobek przekładowy i eseistyczny w „Dialogach i sąsiedztwach” (1971) i tomie „Rimbaud, Appolinaire i inni” (1988). Członek jury Międzynarodowej Nagrody Poetyckiej przyznawanej w Belgii (1958-). Wiceprezes Polskiego PEN Clubu (1978-) i prezes PEN-Clubu (1991-1996). Był członkiem Stowarzyzenia Pisarzy Polskich. Laureat m.in. Nagrody Literackiej PEN (1971), francuskiej Prix Annuel de Traduction (wespół z Julią Hartwig, 1977), Fundacji im. Jurzykowskiego (1988) i „Literatury na świecie” (1989).

W 1992 r. wydał wraz z żoną Julią Hartwig antologię poezji amerykańskiej.

# Portret z kobietami, czyli Paweł Edmund Strzelecki żywy.

**Anna Habryn „Portret z kobietami” – sztuka teatralna o polskim podróżniku, geologu i geografie, eksploratorze Australii, Pawle Edmundzie Strzeleckim, zmarłym w 1873 roku w Londynie. Sztuka została wystawiona przez teatr Scena 98 z Perth,**

**Na podstawie sztuki powstało słuchowisko radiowe p.t. „Dałeś mi marzenie” w reżyserii Joanny Borkowskiej-Surucic, przedstawiona przez teatr Fantazja z Sydney.**



Paweł Edmund Strzelecki (Grzegorz Niedźwiadek) i służący Stokes (Wiesław Wójtowicz)  w sztuce Anny Habryn.

**Leszek Szymański**

„Dałeś mi marzenie” to skrócona wersja sztuki Anny Habryn „Portret z kobietami”. To zsyntetyzowana “biografia” Pawła Edmunda Strzeleckiego, bez wątku związanego ze współczesną polemiką na temat ważności zasług Strzeleckiego dla Australii i świata.

A właśnie ta kwestia jest motywem dominującym w oryginalnej sztuce Habryn o Strzeleckim,  intrygująco zatytułowanej „Portret z kobietami”.

Portret Pawła Edmunda Strzeleckiego, to portret człowieka o wielkich ambicjach  i okrutnie egoistycznego wobec kobiet – orzeka znana australijska pisarka Helen Heney w sztuce Anny Habryn. “Heney” przemawiając ze sceny informuje nas, że właśnie pisze  opowieść w imieniu porzuconej Adyny  („In a Dark Glass”, 1961, Angus and Robertson, finansowana przez *Australian Literary Fund* [sic]). w której portretuje Pawła Strzeleckiego jako uwodziciela, który oszukał niewinną dziewczynę Adynę, złamał jej serce i zrujnował życie.

Nie mogę w tym miejscu naśladować naszego znakomitego Boya Żeleńskiego, żeby dać pełną analizę historycznego etapu w rozwoju Australii, kiedy to”Hrabia”* Strzelecki przybył do Sydney z Nowej Zelandii. A było to pewnego wietrznego dnia, w kwietniu 1839 roku. Przypomnę tylko, że Australia była w początkowej fazie rozwoju politycznego i ekonomicznego. Większość kraju była niezbadana. W czasie swego stosunkowo krótkiego pobytu w Australii, Strzelecki dokonał niesłychanie dużo: znaleziska paleologiczne, projekty nawodnienia pól Tasmanii, odkrycia złóż rozmaitych surowców, „zdobycie” i nazwanie najwyższego szczytu w Australii imieniem Kościuszki, odkrycie złota, zatajone przez Gubernatora Gippsa i odkrycie

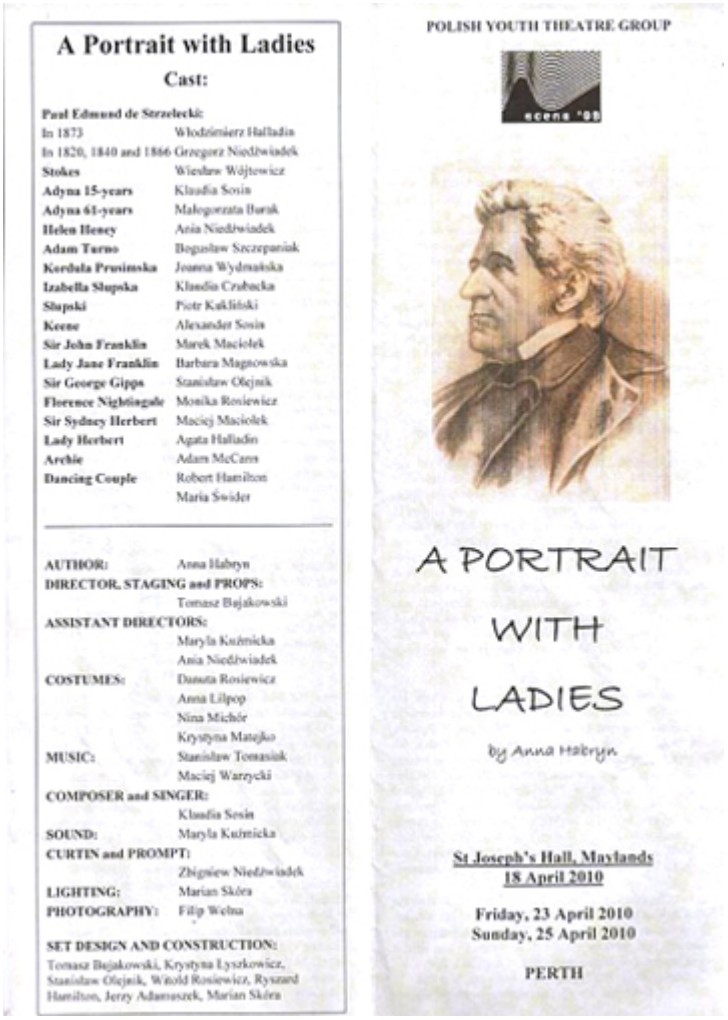
Ziemi, która do dziś dnia nosi imię tego niewdzięcznika… Naukowe dzieło P.E. Strzeleckiego “Physical Description of New South Wales and Vand Diemen’s Land” było przez wiele lat podstawowym podręcznikiem geologii Australii.

Współcześni nie zaprzeczali osiągnięciom Strzeleckiego, który pozostawił po sobie jak najlepsze wrażenie. Pamięć jego była szanowana i uznawana w książkach i podręcznikach, aż do czasów pani Helen Heney, kiedy to, jeśli posłużymy się słowami Adyny w sztuce Anny Habryn, czytelnicy Heney uwierzyli w jej potwarze wobec Strzeleckiego i jego imię zniknęło z podręczników szkolnych oraz strącono go z pomnikowego piedestału, a Heney w ten tani i niegodny sposób zdobyła nowe piórko do swego literackiego kapelusika.

Nie tylko przeciętni czytelnicy uwierzyli rozmaitym kalumniom i nie spostrzegli opuszczeń, pomyłek historycznych i fałszywych interpretacji, ale dali się przekonać i zawodowi historycy, których etycznym obowiązkiem było spostrzec błędy Heney**. Imię Strzeleckiego praktycznie zniknęło z australijskich książek, a co gorsza został on określony przez czołowego australijskiego historyka jako polski awanturnik.

Strzelecki był postacią dość zagadkową, prawie tajemniczą. Najpełniej znanym okresem jego życia, jak można sądzić na podstawie znanych dokumentów, był właśnie jego pobyt w

Australii. Z tego czasu mamy zachowaną część korespondencji z Adyną. Listy Strzeleckiego są w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, listy Adyny zaginęły.



**A Portrait with Ladies**

**Cast:**

| | |
|---|---|
| **Paul Edmund de Strzelecki:** | |
| In 1873 | Włodzimierz Halladin |
| In 1820, 1840 and 1866 | Grzegorz Niedźwiadek |
| **Stokes** | Wiesław Wójtewicz |
| **Adyna 15-years** | Klaudia Sosin |
| **Adyna 61-years** | Małgorzata Burak |
| **Helen Heney** | Ania Niedźwiadek |
| **Adam Turno** | Bogusław Szczepaniak |
| **Kordula Prusinska** | Joanna Wydmańska |
| **Izabella Slupska** | Klaudia Czubacka |
| **Slupski** | Piotr Kuklinski |
| **Keene** | Alexander Sosin |
| **Sir John Franklin** | Marek Maciołek |
| **Lady Jane Franklin** | Barbara Magnowska |
| **Sir George Gipps** | Stanisław Olejnik |
| **Florence Nightingale** | Monika Rosiewicz |
| **Sir Sydney Herbert** | Maciej Maciołek |
| **Lady Herbert** | Agata Halladin |
| **Archie** | Adam McCann |
| **Dancing Couple** | Robert Hamilton |
| | Maria Świder |

| | |
|---|---|
| **AUTHOR:** | Anna Habryn |
| **DIRECTOR, STAGING and PROPS:** | Tomasz Bujakowski |
| **ASSISTANT DIRECTORS:** | Maryla Kuźnicka |
| | Ania Niedźwiadek |
| **COSTUMES:** | Danuta Rosiewicz |
| | Anna Lilpop |
| | Nina Michór |
| | Krystyna Matejko |
| **MUSIC:** | Stanisław Tomasiuk |
| | Maciej Warzycki |
| **COMPOSER and SINGER:** | Klaudia Sosin |
| **SOUND:** | Maryla Kuźnicka |
| **CURTIN and PROMPT:** | Zbigniew Niedźwiadek |
| **LIGHTING:** | Marian Skóra |
| **PHOTOGRAPHY:** | Filip Wełna |

**SET DESIGN AND CONSTRUCTION:**
Tomasz Bujakowski, Krystyna Łyszkowicz, Stanisław Olejnik, Witold Rosiewicz, Ryszard Hamilton, Jerzy Adamaszek, Marian Skóra

POLISH YOUTH THEATRE GROUP



A PORTRAIT WITH LADIES

by Anna Habryn

St Joseph's Hall, Maylands
18 April 2010

Friday, 23 April 2010
Sunday, 25 April 2010

PERTH

Historia Adyny Turno to romans z 15-letnią dziewczyną i – jak głosi plotka – usiłowanie porwania. Historia dająca się porównać do historii innego Edwarda znanego w historii Australii (Wakefielda), który wylądował w więzieniu za porwanie pewnej dziedziczki fortuny, jak się dziwnie składa również piętnastoletniej. Tylko, że miłość Pawła i Adyny nie miała podłoża materialnego, bo dziewczyna była biedna niczym mysz kościelna. No i Strzelecki, choć stracił reputację i narobił sobie kłopotów, nie wylądował w więzieniu. Ostatecznie uzyskał posadę administratora majątków Księcia Eustachego Sapiechy. Po jego śmierci zdobywszy wystarczające fundusze znalazł się w Anglii i po licznych i długich podróżach w Australii, gdzie choć nie zdobył majątku, rozsławił swe imię.

Sztuka Habryn została napisana w 2009 roku i po raz pierwszy wystawiona przez polską grupę teatralną Scena 98 z Perth, która rok później wystąpiła z tym przedstawieniem (w reżyserii Tomasza Bujakowskiego) w konsulacie i ambasadzie PR oraz w kilku polonijnych klubach w Melbourne i Sydney.

Jest to sztuka niezwykła, w trzech aktach, pełna retrospekcji. W pewnym sensie przypomina komedię Luigi Pirandello „Sześć Postaci w poszukiwaniu Autora".

Habryn określa swą sztukę jako niezupełnie poważną, mając chyba na myśli wprowadzenie piosenek śpiewanych przez głównych bohaterów. Te śpiewane komentarze spełniają podwójną rolę: służą jako expose dla postaci i są jednocześnie momentem odprężenia w jednak poważnej choć nie ponurej atmosferze utworu, który zaczyna się na łożu śmierci Pawła Strzeleckiego i kończy jego zgonem. Mimo tego cienia śmierci i braku formalnej fabuły, akcja toczy się wartko, zapewniając dramatyczne napięcie. Zaskakując czasami.

Dążenie do sławy, chęć zdobycia majątku, obowiązek wobec ludzkości, co nim kierowało? Złożoność przyczyn jakie nadają kierunek życia wielkim ludziom? Ostateczny sens jaki usiłujemy nadać naszej egzystencji? Habryn nie daje nam definitywnej odpowiedzi, ba, nie wkłada definitywnej wypowiedzi w usta Strzeleckiego, który do końca sztuki pozostaje postacią

zagadkową, wielowymiarową.

Kobiety w portrecie Strzeleckiego to przede wszystkim Adyna, dwie późniejsze znajome: Lady Herbert i Florence Nightingale, a także protagonistka Helen Heney.

Występuje też w sztuce Lady Jane Franklin mecenaska kultury i nauki, żona gubernatora Johna Franklina, sławnego wtedy zdobywcy Arktyki, która opiekowała się Strzeleckim podczas jego pobytu na Tasmanii. Pojawia się ona też później w Londynie, informując Strzeleckiego o śmierci jego przyjaciela Johna Franklina. Stali się na Tasmanii bliskimi przyjaciółmi i Strzelecki nawet chciał objąć komendę statku wyruszającego na poszukiwanie zagubionego wśród lodów Franklina.

Zainteresowanie sprawą polską słynnej Florence Nightingale i finansową pomoc dla ofiar powstania, możemy na pewno przypisać Strzeleckiemu (chociaż o tym w sztuce nie ma wzmianki).

Autorka zręcznie daje do zrozumienia, że Strzelecki w Londynie znał wpływowe i znakomite osoby, nie zapomina też o jego świetnej organizatorskiej i filantropijnej działalności podczas Irlandzkiego Wielkiego Głodu Ziemniaczanego. Wszystko to bez obciążania akcji żmudnymi opisami.

Najważniejszą z portretowanych kobiet jest Adyna, która oczywiście wpłynęła na  życie Strzeleckiego,  i do której miłość, choć wyglądała romantycznie z kwiatkiem z góry Kościuszki, może ochłodła pod wpływem doświadczeń życiowych i upływu czasu? A może ta 15-letnia Adyna, w której zakochał się 23-letni Paweł istniała tylko w tym okresie, a później już tylko w jego wyobraźni, a zwłaszcza w listach? I drugiej Adyny nie mógł znaleźć?



Anna Habryn po spektaklu w rozmowie z odtwórcą roli Pawła Edmunda Strzeleckiego,

Włodzimierzem Halladinem.

Bo ostatecznie, choć Pawłowi mogły grozić konsekwencje za dezercję z wojska pruskiego, prawdopodobnie by mu to wybaczono tak jak i Ludwikowi Leichardtowi. Tak, że mógłby ryzykować wizytę w Poznańskim. Na tym miejscu warto zauważyć, że prawie rówieśnik Strzeleckiego Prusak Leichardt, którego osiągnięcia są znacznie mniejsze niż Strzeleckiego, cieszy się pełnym uznaniem historyków, ma liczne biografie i stał się bohaterem popularnej powieści Patricka White'a „Voss".

Nieprzyjemnie licytować się, kto miał większe osiągnięcia i komu należy się wyższe miejsce na piedestale, ale skoro pani Heney skutecznie ściągnęła naszego bohatera z cokołu, warto się zastanowić nad nienaruszoną reputacją Leichardta. Ale wracając do tematu; Adyna bez większych trudności mogła podróżować do Londynu – gdyby oboje chcieli, zamiast spotykać się po latach w Szwajcarii, co prawda nie jako zgrzybiała para, jak ich określił Zygmunt Nowakowski, ale zdecydowanie już nie pierwszej młodości.

"Helen" w sztuce „Portret z kobietami" nabiera życia i możemy współczuć jej nieszczęśliwej miłości do polskiego oficera, ale prawdziwej Heney nie da się wybaczyć złośliwości wobec

Strzeleckiego (nawet jej wzmianka w autorytatywnym australijskim Słowniku Biograficznym, choć wierna faktograficznie, jest utrzymana w nieprzychylnym, lekceważącym tonie i prawdopodobniej bardziej skuteczna dla umniejszenia naszego bohatera we współczesnej historiografii australijskiej i niestety ogólnym odbiorze niż jej książka).

Gdy ukazał się paszkwil Helen Heney, nikt nie dał jej odprawy. Wacław Słabczyński, dyrektor Biblioteki Narodowej, redaktor dzieł Strzeleckiego, autor jego popularnej biografii – milczał.

Biografia Pawła Edmunda Strzeleckiego pióra Lecha Paszkowskiego, znakomitego historyka, autora epokowego dzieła „Polacy w Australii i Oceanii", ukazała się dopiero w 1997 roku, i choć rzetelna i głęboka, jest niestety walką z cieniem.

Helen Heney słusznie odeszła w zapomnienie, choć efekt jej kreciej roboty trwa do dziś dnia. Przeciętny czytelnik biografii „Sir Paul Edmund de Strzelecki", nie mając pod ręka „Through the Dark Mirror", nie orientuje się, z czym Lech Paszkowski polemizuje i co go tak słusznie oburza. No i zwykle brak temu czytelnikowi głębszej wiedzy historycznej, by osądzić, kto miał rację.



Zespół teatru Scena 98 z Perth po spektaklu „Portret z kobietami”, 2011 r., fot. Anna Habryn.

Natomiast sztuka Habryn dociera skutecznie do widza i czytelnika, nadając życie cieniom i docierając tam, gdzie uczone dzieła nie dotrą. I powinna być udostępniona nie tylko Polonii, lecz i widzom w Polsce.

Poza wszelkimi innymi zaletami, których nie można przecenić, jak intuicja historyczna i literacka, plastyczność postaci, ich realizm uchwycony pociągnięciem piórka, humorem, jędrnym językiem, sztuka jest dostosowana do poziomu odbiorcy, dając mu podstawowe wiadomości i jednak coś do myślenia, każąc się zastanowić, kim był właściwie nasz bohater i co chciał osiągnąć w życiu. I zarazem dając znacznie więcej dyskusyjnego materiału

widzom o głębokiej znajomości historii Australii i Anglii.

_____

* Strzelecki nie używał tytułu hrabiowskiego, ale nie protestował. Otwierało mu to wiele drzwi.

** Niżej podpisany w owym okresie wiedział zbyt mało o P.E. Strzeleckim by zabierać głos. Lech Paszkowski był również stosunkowo mało znany, ale Wacław Słabczyński i Jerzy Zubrzycki byli postaciami znanymi międzynarodowo.

*** Pesymistycznie zakładam, że tym czytelnikiem jest osoba polskiego pochodzenia, gdyż książka Lecha Paszkowskiego nie jest skierowana do anglosaskiego odbiorcy.

_____

**Leszek Szymanski** (historyk, pisarz polsko/australijskii, m.in. autor "Kazimierz Pulaski in America, a monograph"), postać znana z historii literatury polskiej jako założyciel i pierwszy redaktor niezależnego czasopisma literackiego „Współczesność", były współpracownik „Wiadomości Polskich" i radia SBS w Sydney oraz pism w Anglii i USA, mieszka obecnie w Kalifornii.

**Anna Habryn**, pisząca po polsku i angielsku autorka powieści

„Miłość po szkocku” (drukowanej w odcinkach „Liście oceanicznym – dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto oraz na stronie Culture Avenue), pięciu tomików wierszy i sześciu sztuk teatralnych, mieszka w Perth, WA.

**zobacz też:** http://mtkosciuszko.org.au

---

# Piękno

**Barbara M. J. Kukulska**

*Korespondencja z Johannesburga (Republika Południowej Afryki)*



Afrykańska przyroda, fot. B. Kukulska

Wsłuchana

w brzmienie szelestu liści,

Zastygłam

w podziwie nad pięknem natury.

Zanurzyłam

> w bezkresie mej duszy.
>
> Zachwycona,
>
> bez tchu, oniemiałam.
>
> Dotknęłam światła.
>
> Miłość wypełniła mnie,
>
> uniosła ponad drzewa.

Piękno jest wokół nas, należy jednak je dostrzec.

Zastanawiam się jak inni określają piękno?

Pojęcie piękna należy do podstawowych wartości, jakie zdefiniowała filozofia u samych swoich początków.

Piękno (grec. *kalós*, łac. *pulchritudo, pulchrum*) – analogicznie (*zbieżna, podobna*) pojęta właściwość rzeczywistości, ludzkich wytworów, w tym sztuki, a także ludzkiego sposobu

postępowania, wyrażana w tradycji kultury zachodniej pod postacią harmonii, doskonałości lub blasku, które jako oglądane i dla oglądania budzą upodobanie.

Współcześnie piękno  najczęściej wiązane jest ze sztuką, z poznaniem zmysłowym i uczuciami.



Afrykańska przyroda, fot. B. Kukulska.

Refleksja starożytnych Greków nad pięknem  nie wysuwała na plan pierwszy wytworów sztuki, lecz rzeczywistość (kosmos) i moralność.

W rozumieniu Platona piękno tworzyło wraz z prawdą i dobrem słynną triadę, wyznaczającą sam szczyt wszelkich wartości w świecie wiecznych idei.

Natomiast w sferze ziemskich zjawisk, postrzeganych zmysłami piękno znalazło wyraz w pitagorejskiej tzw. wielkiej teorii. Zakładała ona, że piękno polega na należytych proporcjach wyrażalnych w liczbach, matematycznie. Z tych proporcji wywodzi się zarówno harmonia dźwięków w muzyce, jak symetria w rzeźbie i architekturze. Klasyczne piękno podług wielkiej teorii miało zatem charakter racjonalny i normatywny zarazem.

Na przestrzeni wieków zakwestionowane zostało tradycyjne antyczne pojęcie harmonii jako istoty piękna.

W obecnych czasach dysharmonia, brzydota uznawana jest za

artyzm, ale natura nie zmieniła swych barw i zachwyca swoją harmonią.

## Afrykańska przyroda w obiektywie Barbary M. J. Kukulskiej

















# Kasztan Kisiela



Stefan Kisielewski, fot. alchetron.com

**Florian Śmieja**

Stefana Kisielewskiego spotkałem po raz pierwszy w Anglii; nie pamiętam już bliższych szczegółów. Widzę jak przez mgłę niekonwencjonalnie ubranego mężczyznę w wiatrówce koło kiosku na stacji kolejki podziemnej Gloucester Road z egzemplarzem tygodnika „Orzeł Biały" wystającym z kieszeni. To był umówiony znak rozpoznawczy. Jak w konspiracji. Nasz miesięcznik młodych „Merkuriusz Polski" wydrukował wtedy jego artykuł, a on sam wystąpił pod nasza egidą w Instytucie im. gen Władysława Sikorskiego w Londynie. Próbowaliśmy dostarczać mu nasze pismo, które z czasem zmieniało nazwę. Raz odpowiedział

> „Kontynentów" czy jak się zwą nie dostaję…,

a innym razem

> …niestety „Kontynentów" nie otrzymuję mimo dwukrotnej interwencji w Urzędzie Kontroli Prasy.

Dlatego, gdy zjawił się w Kanadzie jakieś tuzin lat później, zaprosiłem go skwapliwie do nas. Były to czasy jednoznacznego pohukiwania nieprzejednanych.

> Na jaki paszport przyjeżdża – pisali jedni – jakąż więc musi robić robotę?

Inni sarkali:

> Niech już sobie działa tam, ale tu my takich nie potrzebujemy.

W London, Ontario, zaprowadziłem go m.in. na Wydział Muzykologii mojego uniwersytetu. W rezultacie w lokalnym dzienniku pojawił się o nim artykuł i piękne zdjęcia Kisiela przy fortepianie. Na uniwersytecie do kolegów po fachu przemówił po niemiecku. Kiedy bez żenady oświadczył, że cały ten polski socjalizm to właściwie jedna ciągła improwizacja, tłumaczący profesor  zląkł się i zamiast tłumaczyć dokładnie, zabrnął w jakieś eufemistyczne łamańce i uniki.  W jednej z rozmów prywatnych nie omieszkałem spytać Kisielewskiego o scenę muzyczną w Polsce. Kogo uważał za najjaśniejszą młodą gwiazdę wśród polskich kompozytorów? Bez wahania odpowiedział: Henryka Mikołaja Góreckiego. Usłyszałem to nazwisko wtedy po raz pierwszy.

Ponieważ nasz Klub Dyskusyjny spotykał się w prywatnym domu

i był przez tzw. zorganizowaną lokalną Polonię bojkotowany (teren tu już jest zajęty, tłumaczył proboszcz), postanowiliśmy z okazji przyjazdu tak wybitnej postaci dać wszystkim zainteresowanym Polakom w London okazję, by go mogli zobaczyć i posłuchać. Wynajęliśmy więc w tym celu salę w świeżo za miastem zbudowanym domu rekolekcyjnym OO Michaelitów. I wtedy zaczęły się trudności. Proboszcz polskiej parafii zagroził Michaelitom konsekwencjami w przyszłej współpracy, jeżeli nam udostępnią lokal. Na szczęście, kierownik ośrodka się nie przeląkł. Ponoć jacyś gorliwi parafianie planowali przeciąć drogę dojazdową...



Stefan Kisielewski, fot. alchetron.com

Spotkanie się jednak odbyło. Oprócz członków Klubu, którzy

stawili się gremialnie, spoza naszego grona pojawiło się na sali aż dwóch śmiałków. Reszta, niestety, uległa zastraszeniu proboszcza i presji powolnego środowiska.

Po znakomitej prelekcji resztę zimowego wieczoru spędziliśmy wesoło u Haliny i Mieczysława Gramatyków. To tam Kisielewski wśród obecnych rozpoznał pułkownika Czesława Czajkowskiego, swojego ostatniego dowódcę we wrześniu 1939 roku. Od owego momentu, utrwalonego zresztą w powieści „Sprzysiężenie", Kisiel nic o nim nie słyszał. Radości z tego nieoczekiwanego spotkania było wiele.

Przypominam sobie, jak to kilka lat później bawiąc w Warszawie, w kawiarni poselskiej (mimo że Kisiel już wtedy posłem nie był) napisaliśmy wspólnie kartkę do Kanady do pułk. Czajkowskiego, na której Kisiel meldował się jako podchorąży. Przedstawił mi wtedy także człowieka, którego nazwiska niestety nie zapamiętałem, ogłaszając na całą salę, że miałem ogromne szczęście, jako że ów znajomy zazwyczaj przebywał w więzieniu i rzadko kiedy można go było spotkać na wolnej stopie. Opowiedział mi też historyjkę o Leopoldzie Tyrmandzie, siedzącym już wtedy w Ameryce. Raz przyszedł on do Kisiela i naumyślnie rozlał jakiś płyn w przedpokoju. Bez słowa, ponieważ posadzka była czysta, Kisiel zdjął płaszcz Tyrmanda z wieszaka i wytarł nim podłogę.

Po raz pierwszy odwiedziłem Kisiela w Polsce korzystając z uprzejmości sir George'a Cluttona, ambasadora Wielkiej Brytanii, a mojego byłego ucznia,  który mnie pod jego dom podwiózł. Bardzo cenił Kisiela, a ten grywał u niego na przyjęciach dla przyjaciół. Kisielewski przyjął mnie z wielką serdecznością, był w świetnym nastroju, gdyż akurat ukończył pracę nad „Damami i huzarami".

Kisiel  w jednym z listów donosił:

> […] Poza tym działam normalnie, pisuję, komponuję, myślę etc. Pańskiego ucznia z dyplomacji widuję nie rzadko – bardzo jest zabawny. W karnawale urządził nieoficjalne przyjęcie taneczne w swojej rezydencji, można było pękać ze śmiechu, tańczono poloneza (a grałem), śpiewano chórem krakowiaka itp.

Kiedy byłem u niego parę lat później po raz drugi, by wręczyć mu list, nie zastałem go w domu. Był w Gliwicach z odczytem.

W moim domu w Kanadzie naraziłem mu się, gdy mu nasypałem za dużo kawy do filiżanki. „Nie chce mnie pan otruć"? skomentował. A na odjezdnym podarował mi kasztan zapewniając, że chroni od reumatyzmu. „Ale ja nie mam reumatyzmu"' odpowiedziałem. „A widzi pan – ciągnął

niespeszony Kisiel – już działa”.

Kasztan nadal posiadam; reumatyzmu się nie nabawiłem.

---

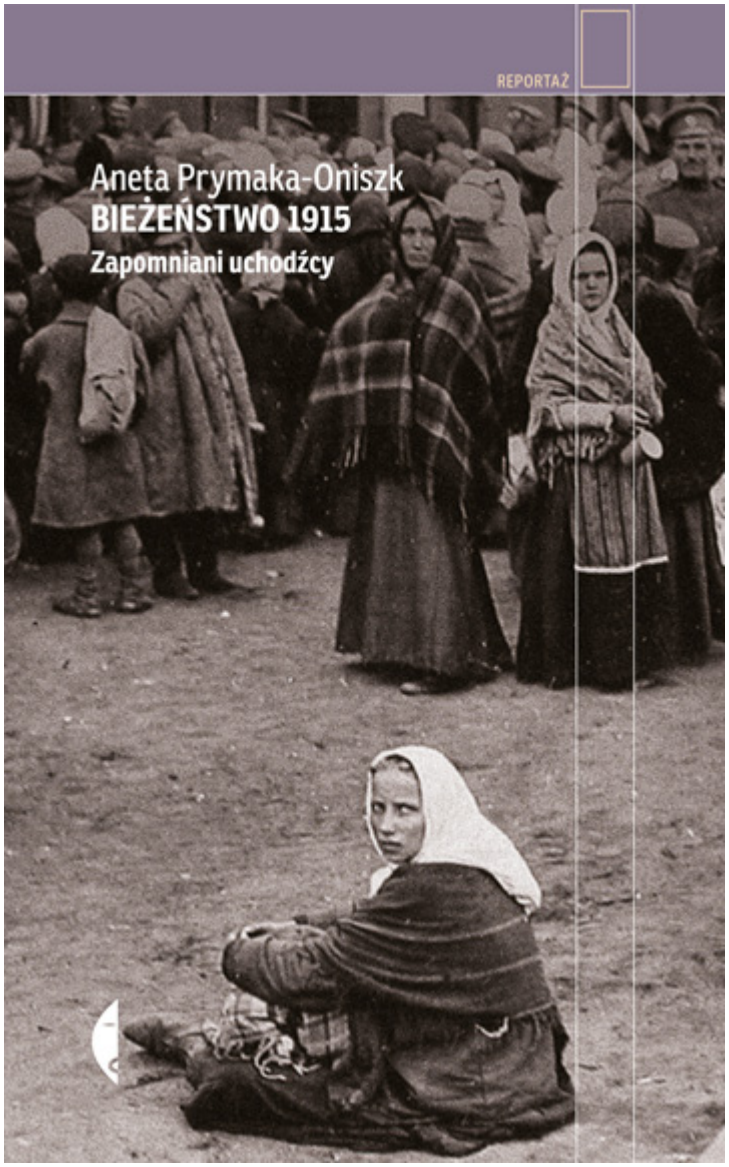
# „Bieżeństwo 1915” Anety Primaki-Oniszk: Epopeja o zapomnianych uchodźcach.

**Barbara Lekarczyk-Cisek**

*Recenzja książki*

**Aneta Primaka-Oniszk przypomina światu historię nigdy w pełni nieopowiedzianą. Pisze o świecie, którego już nie ma i o którym właściwie zapomniano. Jej opowieść o uciekających przed zagładą chłopach z Podlasia ma epicki charakter, a jednocześnie wtajemnicza czytelnika w pojedyncze ludzkie losy, nad którymi autorka pochyla się z wielką wrażliwością, próbując zrozumieć, co ludzie ci czuli i przeżywali.**

„Bieżeństwo 1915” to jedna z tych książek, o których można powiedzieć, że musiała zostać napisana. Epopeja o zapomnianych uchodźcach to jedna z najbardziej poruszających lektur, jakie dane było mi ostatnio przeczytać.




Aneta Primaka-Oniszk przypomina światu historię nigdy w pełni nieopowiedzianą. Pisze o świecie, którego już nie ma i o którym częściowo zapomniano. Jej opowieść o uciekających przed zagładą chłopach z Podlasia ma szeroki, epicki charakter, a jednocześnie wtajemnicza czytelnika w pojedyncze ludzkie losy, nad którymi autorka pochyla się z wielką wrażliwością, próbując zrozumieć, co ludzie ci czuli i przeżywali.

> Bieżeństwo. Tak babcia i wszyscy wokół nazywają ten czas – pisze. Musi być ważny, skoro ich historia świata dzieli się na przed bieżeństwem i po bieżeństwie.

Opowieść ta ma więc także osobisty aspekt: dotyczy babci Nadzi, czyli Nadziei, która przeżyła bieżeństwo, a na jej fotografii – jednej z nielicznych, które się zachowały – pozostał tego ślad, bo usta babci wprawdzie się uśmiechają, ale w oczach pozostał smutek… Kiedy wyjeżdżała z Knyszewicz, miała osiemnaście lat, była urodziwa i nosiła długie warkocze. Podobno była do Anety bardzo podobna. Ona jednak pamięta ją jako starą już kobietę, czytającą dzieciom w Wielki Czwartek ewangelię w języku staro-cerkiewno-słowiańskim i niechętnie mówiącą o przeszłości.

**Historia utraty**

Bieżeństwo to historia utraty: bliskich, domu, ziemi, a wreszcie korzeni i tożsamości.

> Staliśmy się nie ludźmi, ale liśćmi – opowiada jedna z bieżenek. Wiatr nas goni, gdzie chce.

Taki los stał się udziałem milionów ludzi. Kto jest w stanie to

pojąć, co czuje człowiek, który nie tylko utracił wszystko, ale przestał mieć jakikolwiek wpływ na swój własny los? Wydaje się, że to niemożliwe, a jednak ta książka pozwala to poczuć.

Zaczęło się od tego, że w 1915 roku, podczas I wojny światowej, cofające się wojska rosyjskie zaczęły siłą wysiedlać wsie, a także niszczyć plony, aby nic nie pozostało dla wrogów. Ponadto propaganda siała strach przed nadciągającym wrogiem.

> Germaniec wrzuca ludzi do ognia! Niemcy babom cycki będą obcinać, dzieci nabijać na szable albo wrzucać do studni!

– niosła się złowroga wieść. I ludzie ruszyli na Wschód całymi taborami i wsiami.

Aneta Prymaka nie poprzestaje na przytaczaniu relacji i faktów, nie jest jedynie chłodnym, obiektywnym kronikarzem tych wydarzeń. Przeciwnie, nieustająco towarzyszy jej opowieści refleksja i empatia. To bardzo ważny element narracji.

> Analizuję, co czuli przed wyjazdem – snuje rozważania. Próbuję złapać ten moment podjęcia decyzji: jechać czy zostać. Gdy wczytuję się we wspomnienia, odkrywam jednak, że często decyduje przypadek. Czasem ludzki błąd, czasem

> fart lub pech.

Lubelski Bełc – Rawa Ruska, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

**Dantejskie piekło**

Podróż trwa długo. Po drodze umierają ludzie i padają zwierzęta. Brakuje wody i kończą się zapasy żywności. Szerzy się odra, tyfus, cholera. Giną od nalotów bombowych. Ciała pozostają bez pochówku… Mnożą się ludzkie dramaty. Dzieci tracą rodziców, a rodzice dzieci. Zdarzają się takie przypadki, jak ten, kiedy ojciec po śmierci żony oddaje najmłodsze dziecko do sierocińca, bo obawia się, że nie wykarmi całej piątki. Kiedy najmłodszy z rodzeństwa odjeżdża pociągiem, wszyscy płaczą. Taki obrazek pozostaje na zawsze w pamięci jego starszej siostry… Odnotowano, że zdarzały się i takie przypadki, że umierające matki, nie mogąc znaleźć nikogo, kto zaopiekowałby się ich dziećmi, topiły je, nie chcąc skazywać na powolne konanie. Były jednak i takie, które za nic w świecie nie dały sobie odebrać dzieci. Z jednym z takich dzieci, cudem ocalałych dzięki matczynej determinacji, ciotką Nurą, Aneta Prymaka rozmawia w 2013 roku. *Ma dziewięćdziesiąt dwa lata, mówiła o tym już nie raz. Zawsze wtedy płacze.*

**Czy można zacząć nowe życie z pękniętym sercem?**

Ci, którym udało się przeżyć, odbywają podróż w nieznane. Na jednym z zamieszczonych w książce zdjęć widać cztery kobiety z dziećmi na drewnianym pomoście. To Astrachań nad Wołgą, a one czekają na dalszą podróż…

> Gdy widzę to zdjęcie po raz pierwszy – pisze autorka reportażu – mam wrażenie, jakbym zobaczyła swoją babcię Nadzię albo prababcię Annę Prymakę z trzyletnią Lubą na rękach. Te wszystkie kobiety, które z babcią Nadzią wspominały Rasieję, gdy jako kilkuletnia dziewczynka bawiłam się obok. Zaraz zostawią bezpieczny ląd i wsiądą na statki, które powiozą je nie wiadomo gdzie.

Przyjeżdżają wynędzniali, często chorzy, po różnych traumatycznych przeżyciach. Trzeba zacząć nowe życie. Ale czy to możliwe?

> Zastanawiam się, kim staje się człowiek, którego świat całkowicie runął – zastanawia się reporterka. Z czego buduje nową rzeczywistość? Skąd czerpie siłę? Kim staje się cała społeczność, która utraciła wszystko?

Niektórzy docierają aż do Taszkientu, a tam, po wyjściu z pociągu, widzą na peronie kolorowo ubrane postaci o poczerniałych twarzach, ostrych rysach i skośnych oczach – tak muszą wyglądać tylko diabły. Tymczasem okazuje się, że to delegacja Kirgizów i Sartów, witająca bieżeńców białym chlebem. Później dowiadują się, że mieszkają tam również przesiedleni wiele lat wcześniej Ukraińcy. Jednak wszystko jest obce i ludzie wysiedleni z Odrynek nie nauczą się żyć w Czardżuju. Kiedy na wiosnę wszystko budzi się do życia, oni – niedożywieni i osłabieni podróżą – zaczynają chorować i masowo umierać. Wielu zapada na choroby psychiczne. Znany psychiatra, Władimir Michajłowicz Biechtieriew, proponuje nawet otwarcie w Piotrogrodzie kliniki psychiatrycznej dla bieżeńców. Stara się o sfinansowanie budowy szpitala przez Komitet Wielkiej Księżnej Tatiany. W gazetach ukazują się artykuły, w których autorzy z wielkim współczuciem piszą o przeżyciach bieżeńców, zwłaszcza dzieci:

> Być może ich małe, niemające jeszcze siły serduszka rozpadły się już na kawałki i takie pozostaną na całe życie, tak jak pęknięte są serca ich posępnych i wymęczonych matek i ojców.

Zdjęcie grupowe zrobione w przytułku we wsi Podostrownoje w

guberni tambowskiej, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

**Apokalipsa 1917 roku**

Kiedy w 1917 roku wybucha rewolucja, zaczyna się prawdziwa apokalipsa. Świat wali się po raz drugi, padają też ostatnie filary starego porządku: autorytet władzy i Bóg. Zaczyna się groza i straszliwy głód. Bolszewicy sypią zboże do rzeki, palą lub rzucają ptakom. Dzieją się rzeczy niewyobrażalne nawet dla bieżeńców, którzy tyle przeszli. W latach 1921-1923 umiera ponad pięć milionów ludzi, dochodzi do aktów kanibalizmu. Bieżeńcy postanawiają wracać, ale na powrót do domu wielu z nich będzie musiało czekać kilka lat.

*Przyjechałem zupełnie ogołocony z pieniędzy wydanych na łapówki bolszewikom i Niemcom* – napisze w swoich wspomnieniach Stanisław Wojciechowski, przyszły prezydent Rzeczypospolitej. Bieżeńcy znowu doświadczają głodu, poniewierki i chorób. W dodatku wracają do innej Polski, której nie było przed ich przyjazdem i muszą się w niej na nowo odnaleźć.

„Gazeta Warszawska” 19 stycznia 1922 roku napisze:

> Repatrianci przybywają do Polski w stanie wycieńczenia i

> zarazy nie tylko z tego powodu, że w Rosji panuje głód, przed którym uciekają do Polski, ale również dlatego, że podróże z Rosji trwają całymi tygodniami, a niekiedy i miesiącami, podczas których rząd sowietów nie daje prawie żadnej pomocy żywnościowej i podróże te odbywają się w wagonach tak zawszonych, iż nawet zdrowi repatrianci ulegają zarażeniu i często umierają w pociągach przed przybyciem do Polski.

**Powrót na „hoły kamień”**

Ci, którym udało się jednak powrócić, zastają najczęściej ruinę – spalone domy i zagrabione gospodarstwa. Na szczęście Niemcy, którzy zakładali na tych terenach kolonie rolne, wyjechali i pozostawili po sobie zboża.

*Ach, wiele przeżyliśmy. Wróciliśmy na goły kamień* – powtarza babcia autorki. Ale to nie wszystko. Ludzie zobaczyli, że tamtego, starego świata, który zapamiętali, już nie ma i nigdy nie będzie. Panuje straszliwa bieda: jedzą zupę z pokrzyw, a dzieci pracują ponad siły, krzywdzone i poniżane. Co jednak ma robić wdowa, która wróciła z gromadką małych dzieci? Co mają robić osierocone dzieci, które są zbyt małe, aby utrzymać pług? Pracują ponad siły i straszliwie biedują. Powoli jednak zaczyna się odbudowa nowego życia. To niełatwe, bo większość z nich

mówi *po swojomu* i nie ma szansy poznać polskiego przed pójściem do szkoły. Znikają także prawosławne cerkwie, zastąpione przez kościoły. A przecież religia jest dla tej ludności ważnym składnikiem ich tożsamości. Nic zatem dziwnego, że prorok Ilia (Eliasz Klimowicz) ogłasza koniec świata i przygotowuje naród do ponownego przyjścia Chrystusa.

Bieżenki nad Wołgą, fot. z książki „Bieżeństwo 1915".

**Bieżeństwo jako źródło tożsamości nowego pokolenia**

Historyk, prof. Eugeniusz Mironowicz, pomysłodawca tomu „Bieżeństwo 1915 hoda", uważa, że po tych wszystkich wydarzeniach wyrosło pokolenie prawnuków, którzy piszą własną wersję historii i interpretują ją na swój sposób. W ten sposób tworzy się rodzaj nowej mitologii, która stanie się źródłem tożsamości najmłodszego pokolenia.

Aneta Prymaka nie tylko opisała historię bieżeństwa i jej skutki, ale również założyła bloga Bieżenstwo.pl, na którym zapisuje nowo odkryte ludzkie historie. Blog stał się poniekąd „miejscem spotkań" potomków bieżeńców.

Poza wszystkim książka „Bieżeństwo 1915" jest epickim, pełnym

opisem historii bieżeńców 1915 roku, w którym autorka nie tylko pochyliła się nad losem wspólnot, pojedynczych ludzi, a także nad historią własnej rodziny. Stała się także „kronikarzem duszy ludzkiej” (używając sformułowania Swietłany Aleksijewicz), ukazując, jakie straty ponieśli ludzie w sferze duchowej i psychicznej. Czytając ten fascynujący reportaż, stajemy się świadkami i niejako „uczestnikami” jej dramatycznej opowieści, budzącej zarazem refleksję nad meandrami historii. Książka otrzymała już szereg znaczących nagród, m.in. nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego 2017, Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego oraz Nagrodę Literacką Miasta St. Warszawy.



Bieżeńcy, 1915 r, fot z książki „Bieżeństwo 1915”.



Bieżeńcy na jednym z postojów, fot. z książki „Bieżeństwo 1915”.

**Książka Anety Prymaki-Onyszk: „Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy” ukazała się w Wydawnictwie Czarne.**

---

# Kanadyjski Indiana Jones

**Rozmowa z Krzysztofem Grzymskim – archeologiem, głównym kustoszem działu Egiptu i Nubii w Royal Ontario Museum w Toronto.**



Krzysztof Grzymski podczas wykopalisk w Sudanie, fot. arch. K. Grzymskiego.

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Kultury starożytne to pana pasja, która zaczęła się… w Kaliszu. Jest to historia nadająca się na scenariusz filmowy – młody chłopak, pochodzący z małego miasta, gdzieś w komunistycznej Polsce, żyjący w świecie książek, bo tylko one mogły dać smak wielkiej przygody i podróży w świecie czasu i przestrzeni, wymyślił sobie, że zostanie wielkim odkrywcą i… nim zostaje. Dzięki uporowi i ciężkiej pracy, jego dorosłe życie staje się pasjonujące. Odkrywa Meroe –  starożytną stolicę w Sudanie, gdzie pojechał śladami

Stasia i Nel i staje się światowym autorytetem w dziedzinie prehistorii Nubii. Podróżuje, pisze książki, artykuły i rozprawy naukowe. Każda wyprawa do świata starożytności, mogłaby być scenariuszem jednego z odcinków serialu o przygodach Indiany Jonesa.

**Krzysztof Grzymski:** Tak, mam żyłkę poszukiwacza tajemnic, odkrywcy. Może dlatego też jedna z amerykańskich dziennikarek nazwała mnie *Canadiana Jones*, bo to, co robię kojarzy się z wielką, filmową przygodą, no i łatwiej wymówić *Canadiana Jones* niż Krzysztof Grzymski. Dla mnie pasjonujące jest zarówno odkrywanie tajemnic, jak i łączenie pewnych pozornie oderwanych elementów w logiczną całość. Nie mam na mysli tylko dzikiej przygody na pustyni, lecz sam moment znalezienia. To nie musi też dotyczyć tylko archeologii egipskiej, bo w każdym archeologicznym temacie kryje się jakaś tajemnica. Ciekawe może być zarówno osadnictwo indiańskie w Kanadzie, jak i osadnictwo słowiańskie w Polsce, tak jak np. niezwykłe odkrycia łączące się z początkami Polski, z okresu Mieszka I.

**JSG:** Proszę opowiedzieć o początkach pana pasji archeologicznej.

**KG:** Dorastałem w latach 60., kiedy polscy archeolodzy dokonali wielkich odkryć w rejonie Morza Śródziemnego. Odkryto wówczas Tamę Asuańską, zaczęto odkopywać świątynię królowej

Chatszepsut i zupełnie nie znaną świątynię Amenchotepa III, znaleziono cudowne freski bizantyńskie z Faras,  teatr w Aleksandrii itd. Byłem tym wszystkim wówczas zafascynowany. Nie tak łatwo było wyjechać z Polski, więc tym bardziej takie egzotyczne wyprawy działały na moją wyobraźnię. Poza tym w moim rodzinnym Kaliszu wciąż prowadzone były badania archeologiczne, a ponieważ to nie jest duże miasto, więc z reguły wszyscy wiedzieliśmy, gdzie i co się działo. Kiedy w wieku 14 lat zdawałem egzamin do szkoły średniej, na języku polskim wybrałem tzw, wolne pytanie  – Kim chciałbyś zostać w przyszłości. Napisałem wówczas wielką rozprawę, że chciałbym zostać archeologiem. Wtedy jeszcze przyciągała mnie Grecja, Wojna Trojańska itd. Zresztą wielu moich kolegów marzyło o takim zawodzie, który miał być wielką przygodą.  Tylko potem ludzie dorastają i podejmują inne decyzje. W tym zawodzie trudno jest o pracę. Dlatego tym bardziej się cieszę, że mnie udało się zrealizować marzenia, do których uparcie dążyłem. Moje pierwsze wykopaliska jako studenta pierwszego roku były najpierw w Kaliszu, teraz prowadzę badania na wielką skalę.

**JSG:** Najpierw żył pan starożytną historią rodzinnego miasta, a potem znalazł się pan na dalszych szlakach historii.

**KG:** W moich kanadyjskich wywiadach udało mi się kilka razy wspomnieć o Kaliszu. Kiedyś rozmawiała ze mną dziennikarka z „National Post”. Chciała usłyszeć coś o mnie,  skąd się wzięły

moje zainteresowania archeologiczne itd. Powiedziałem, że pochodzę z najstarszego miasta w Polsce. A ona – to ty jesteś z Krakowa? Zaprzeczyłem, nie z Krakowa, lecz z Kalisza. I opowiedziałem, jak to Kalisz znalazł się w geografii Klaudiusza Ptolemeusza, Greka, albo Egipcjanina, żyjącego w II wieku n.e. w Aleksandrii. W „Nauce geograficznej", która znajdowała się w Bibliotece Aleksandryjskiej, Klaudiusz Ptolemeusz wyznaczył położenie 8000 miejscowości, w tym właśnie Kalisza. I dziennikarka ta opisała starożytne korzenie mojego miasta, z czego byłem dumny.

**JSG:** Co było pana największym zrealizowanym marzeniem?

**KG:** Licencja w Meroe w Sudanie przeszła moje jakiekolwiek marzenia czy oczekiwania. Nigdy nie marzyłem, że właśnie tam będę kierował misją. Sprawdziła się moja intuicja wraz z zasadą mojego promotora z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Kazimierza Michałowskiego – jak kopać to tylko stolice. Obecne odkrycia potwierdziły niezwykłość badań w tym rejonie. To trochę tak, jak szukanie skarbów. Miejsce stało się prestiżowe i przybywają tam różne ważne osobistości ze świata polityki czy kultury. Meroe jest położone ok. 250 km na północ od Chartumu (trzy godziny drogi samochodem, albo pół godziny helikopterem). Już po roku badań opublikowałem pierwszą książkę na temat wykopalisk w tym rejonie. Sudańczycy mogą być dumni, bo wiedza na temat ich historii pojawiła się szeroko w świecie

naukowym.

**JSG:** Dlaczego starał się pan, żeby dostać licencje właśnie w Meroe? Czy to była intuicja badacza?

**KG:** Meroe było stolicą starożytnego Sudanu i jednym z największych miast w Afryce. Prowadził tam w latach 70. badania, wspomniany już, profesor Michałowski. Kiedy poszedł na emeryturę, stanowisko to zostało opuszczone. Potem krótko była tam misja niemiecka. Dla mnie zaraz po studiach Meroe było zbyt skomplikowanym stanowiskiem, żeby się starać o licencję po prof. Michałowskim. Wyjechałem do Kanady i pracowałem na innych stanowiskach w Afryce, m.in. w Mambuko koło starej Dongoli. Potem jednak stwierdziłem, że bardzo mnie ciągnie do Sudanu. Ponieważ Meroe było stolicą, Sudańczycy mieli dużo zastrzeżeń. To  tak jakby ktoś chciał nagle prowadzić wykopaliska w Gnieźnie czy w Krakowie, jakby chciał naruszyć jakiś symbol. No, ale udało się, wspólnie z moim kolegą z Calgary, zająłem się tylko moim ukochanym Meroe. Mam licencję na samo miasto, nie na piramidy. Egipt już jest znany, a Sudan jest ciągle nie odkryty, mimo, że są tam podobne obiekty. Dla Polaka Sudan nie jest obcy, Chartum i Mahdiego znamy poprzez Sienkiewicza.

**JSG:** Jak pan odbiera Sudan z punktu widzenia „W pustyni i w puszczy”?

**KG:** Gdy w latach 70. zacząłem pracować w Sudanie, jeszcze raz przeczytałem książkę, już pod innym kątem. Zobaczyłem, gdzie są te pustynie i szlaki, na których zostali porwani Staś i Nel, którędy uciekali. Mogłem to sobie wówczas wyobrazić. Poznałem też rodzinę Mahdich, to jest nadal panująca rodzina. Przed zamachem stanu w 1989 r. Mahdi był premierem Sudanu. Sienkiewicz świetnie był przygotowany, znał realia. Poznał Egipt i Afrykę. W części powieść składa się z faktów, fabuła jest bardzo prawdopodobna. Rzeczywiście było wówczas powstanie Mahdystów. Nie wiem, czy rzeczywiście jakiś Polak pracował przy budowie Kanału Sueskiego, ale nie jest to wykluczone. Jedynie ucieczka przez południowy Sudan, była pewnie uzupełniona przez fantazję Sienkiewicza, gdyż były to tereny wówczas niezbadane. Pojechałem tam, mimo toczącej się wojny domowej. I zachorowałem na malarię. Tak więc zarówno dla Polaków, jak i dla Anglików, którzy mają swój mit generała Gordona, Sudan nie jest egzotycznym krajem, jest to jakaś część naszego dziedzictwa kulturowego. Czuję więc się w tym Sudanie tak trochę „po swojemu”.



Krzysztof Grzymski podczas wykopalisk w Sudanie, fot. arch. K. Grzymskiego.

**JSG:** Ale na co dzień pracuje pan z prostymi Sudańczykami, a nie np. z rodziną Mahdich.

**KG:** Prawdę powiedziawszy, dużo ciekawsze jest dla mnie pracowanie w terenie, z ludźmi na wsi, niż z elitami rządzącymi. Archeologia ma to do siebie, że z jednej strony ma się kontakt z elitami władzy, z honorowymi gośćmi, z bogactwem, a z drugiej strony archeolog idzie w pole i ma do czynienia z największą biedą. Na tych zapadłych wsiach przyjeżdżają do mnie Nomadzi z

pustyni i proszą o pracę. Kiedyś, podczas okresu suszy i głodu, miałem w obozie mnóstwo uciekinierów, ludzi, którzy potracili wszystko i błagali o jakąkolwiek pracę, aby przeżyć. Przecież oprócz specjalistycznej pracy archeologicznej, gdzie trzeba umiejętnie obchodzić się z eksponatami, dużo jest zwyczajnej pracy, która nie wymaga wiedzy – przenoszenie piachu, kopanie łopatą. Gdybym mógł, założyłbym organizację charytatywną, aby pomóc tym wszystkim biednym, prostym, a przy tym serdecznym ludziom.

**JSG:** Pamiętam z pamiętników Michała Tyszkiewicza, jedynego Polaka, który w XIX wieku pod swym własnym nazwiskiem prowadził prace archeologiczne w Egipcie, że nie było wówczas żadnego problemu, aby wywieźć  starożytne zabytki. Gdy hrabia Michał rozmawiał z rządzącym wówczas Mohammedem Saidem Baszą, usłyszał, że może sobie wywieźć mumii ile chce. Nie przywiązywano więc wagi do wartości historycznej tych obiektów, traktowano je jedynie, jako towar, który można spieniężyć. Jak w tej chwili Sudańczycy podchodzą do wywozu znalezionych na ich terenie cennych starożytnych pamiątek?

**KG:** Z Egiptu, poza wyjątkowymi sytuacjami, nie można już wywozić zabytków. Natomiast Sudan jeszcze na to pozwala. Dlatego Polska w latach 60. dostała zabytki z Farah. Zdarzają się też wyjątkowe sytuacje. Prof. Michałowski zdobył zabytki dla Polski z Egiptu dzięki temu, że Egipcjanie budowali tamę w

Asuanie i zatapiali duży teren. Potem to samo się działo w Sudanie, Sudan postanowił zbudować tamę na czwartej katarakcie i wobec tego Sudańczycy zaprosili misje z całego świata do udziału w ratowaniu zabytków z terenu, który miał być zatopiony i dawai możliwość wywozu znalezisk.

**JSG:** Wspominał pan wielokrotnie polskich archeologów. Czy rzeczywiście Polska jest w czołówce światowej w tej dziedzinie?

**KG:** Z wielu dziedzin naukowych, jest to jedna z dyscyplin, gdzie Polacy naprawdę mają światową pozycję, obok Stanów Zjednoczonych, Francji, Wielkiej Brytanii, Niemców i Japonii. Przecież to, co osiągnąłem w Kanadzie, jest konsekwencją bardzo wysokiego poziomu na polskim uniwersytecie. Z jednej strony jest to  dziedzina, która nie jest konieczna do codziennego życia, ale z drugiej strony przekonuje się coraz bardziej, że ma ona kolosalny wpływ na nasze życie. Dostarcza argumentów historycznych, potrzebnych do usprawiedliwienia pozycji w świecie. Czy to będzie Bliski Wschód, czy Polska. Niemcy twierdzą, że mają prawo do ziem polskich bo tam żyły narody germańskie, a  Polacy, że na tych terenach była kultura łużycka, Biskupin i żyli prasłowianie. Argumenty archeologiczne są często argumentami używanymi w walkach politycznych. A zbieranie historycznych obiektów pochodzących z wykopalisk i wystawianie ich, przyciąga tłumy. Czasami sam się zastanawiam, co powoduje, aż taką fascynację. Dla Polaków starożytność jest

bliska  kulturowo, to też jeden z powodów tak wielkich osiągnięć w dziedzinie archeologii.

Śledząc historię wstecz od Polski chrześcijańskiej, przez początki chrześcijaństwa,  Rzym, do Grecji, widzimy, że i my możemy się doszukać korzeni cywilizacyjnych w Egipcie. Grecy mówili, że swoją mądrość brali od kapłanów egipskich.  A druga droga – to Biblia i chrześcijaństwo, gdyż w Biblii często pojawiają się Egipcjanie i historie egipskie, Mojżesz, Józef, wyprowadzenie Żydów z Egiptu, a potem Matka Boska z dzieciątkiem i Józefem, szukająca schronienia w Egipcie. Starożytny Egipt funkcjonuje więc w świadomości Polaka zarówno poprzez źródła kulturowe, jak i religię od pokoleń. Już w staropolszczyźnie jeżdżono i opisywano liczne podróże do Egiptu, np. Krzysztof Radziwiłł „Sierotka” zostawił diariusz z podróży do Ziemi Świętej. To są tylko przykłady. Archeologia jest żywym dowodem na to, skąd wywodzą się nasze korzenie cywilizacyjne.



Krzysztof Grzymski podczas wykopalisk w Sudanie, fot. arch. K. Grzymskiego.

**JSG:** Czy wobec tego, skoro my Polacy, silnie tkwimy mentalnie i kulturowo w źródłach cywilizacji europejskiej, Kanada, jako młody kraj emigrantów, którzy przywieźli na ten kontynent swoje kultury, często bez korzeni chrześcijańsko-europejskich, jest mniej zainteresowana odkryciami archeologicznymi na świecie niż Polska?

**KG:** Do lat 60. rzeczywiście Kanada nie była zainteresowana tym, co się działo na zewnątrz. Ludzie zajmowali się głównie

wypracowaniem sobie tutaj egzystencji, zarobieniem pieniędzy. Owszem robiono badania, ale dotyczyły one historii Indian, czyli zajmowano się tzw, własnym podwórkiem. Dopiero pod koniec lat 60. rozwinęła się edukacja, powstało dużo nowych uniwersytetów w całej Kanadzie. Wcześniej tylko jednostki pracowały w stacjach archeologicznych, głównie z Amerykanami i z Brytyjczykami (jak twórca ROM – Charles T. Currelly). Pod koniec lat 60. Kanada usamodzielniła się pod względem badań archeologicznych  do tego stopnia, że w 1984 r. założyliśmy Instytut w Kairze. W tej chwili mamy kilka stałych misji na świecie, ale nie jest to działanie na taką skalę, jak w Polsce. Polacy są także  aktywni na Cyprze, w kiedyś byli w Syrii, zanim wybuchła wojna. Byli też w Iraku, jak zaczęły się na tym terenie działania wojenne, polscy archeolodzy (np. Marek Lemiesz z Poznania) weszli w skład stacjonującego tam wojska, aby ratować zabytki.

Natomiast Kanadyjczycy są aktywni, ale na mniejszą skalę. Jedyną przewagą Kanady nad Polską, jest język. Ludzie tu mówią  albo po angielsku, albo po francusku, więc gdy nasze odkrycia są gdzieś ogłoszone, to często są podchwytywane przez światowe agencje. Po moich pierwszych odkryciach w Meroe, gdzie mój kolega z Polski, geofizyk Tomek Herbich, za pomocą tzw. magnetometru porównywał różnice fal magnetycznych i określił położenie budynków  pod ziemią, udzieliłem w Kanadzie szereg wywiadów na ten temat, zarówno w prasie, jak i w

telewizji. I zaraz zgłosiło się do mnie National Geographic, BBC chciało nakręcić film itd.

**JSG:** Co Pan sądzi o placówce, z którą jest Pan związany od lat, czyli o Royal Ontario Museum w Toronto.



Krzysztof Grzymski w magazynie Royal Ontario Museum, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

**KG:** ROM było muzeum najważniejszym i najbogatszym w Kanadzie, ale pod względem zbiorów w jakimś sensie trochę parafialne, bo otwarte tylko na Kanadę i północną Amerykę. A moim celem był kontakt ze światem. W połowie lat 90. na jednej z konferencji Christiana Ziegler, główny kurator egiptologii w Luwrze zapytała, czy byłbym zainteresowany współpracą wraz z Doroteą Arnold z Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku, przy organizowaniu wystawy milenijnej „Sztuka egipska w okresie piramid". Ja oczywiście chętnie się zgodziłem. Chciałem też, aby wystawę przenieść potem do Toronto. Dużym problemem okazało się przekonanie dyrekcji o celowości tak odpowiedzialnej wystawy. Jednak wystawa okazała się być największym sukcesem, w ogóle w dziejach Muzeum. Przyszło 340 tysięcy osób, na wystawę, a do Muzeum ok. 400 tysięcy osób. Mieliśmy wielki sukces publiczny, frekwencyjny. Muzeum miało też duży zysk finansowy. „Egipt w okresie piramid" był wystawą unikalną, zawierającą eksponaty z 30-tu muzeów na świecie, z okresu budowy piramid, czyli tzw. okresu Starego Państwa (2000-503 p.n.e.).

Wydawało mi się, ze po tak spektakularnej wystawie, będę mógł trochę odpocząć i zająć się pracą naukową. Ale nowy dyrektor, który poprzednio był redaktorem naczelnym „Glob and Mail", zawołał mnie i mówi – no Krzysztof, musimy szybko zrobić następna egipską wystawę. Był to dla mnie komplement, aczkolwiek pomysł ten zmienił moje plany. Ponieważ wiedziałem,

że Muzeum nie ma możliwości zorganizowania wystawy od podstaw, zacząłem szukać wystawy gotowej, którą można byłoby przewieźć do Toronto. Niewątpliwie najlepszą była wystawa „Wieczny Egipt”, zorganizowana w USA, zawierająca 144 wybrane w świadomy sposób obiekty z British Museum w Londynie. Po długich negocjacjach udało się ją zaprezentować w Toronto.




Krzysztof Grzymski w magazynie Royal Ontario Museum, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

**JSG:** Zbiory sztuki egipskiej w British Museum są starsze niż w Luwrze, mimo, że za czasów Napoleona nastąpiła wielka fascynacja Egiptem.

**KG:** Gdy tworzyło się muzeum w Londynie, Luwr był ciągle pałacem królewskim.

British Museum zostało założone w już 1753 roku. Zbiory więc w jakiś sposób stanowią świadectwo historii zbieractwa. Gdy Anglicy, za czasów Napoleona, pokonali wojska francuskie, w ramach traktatu pokojowego do Wlk. Brytanii przyjechały też zabytki egipskie. Dlatego słynny kamień z Rozetty z napisami w trzech językach, w trzech pismach, jest w Londynie. Później zwycięskie mocarstwa otworzyły w Egipcie swoje konsulaty, a konsulowie zaczęli masowo zatrudniać ludzi i odkopywać coraz to nowe miejsca. Skarby starożytności trafiały do muzeów lub do sprzedaży. Często traktowano je wyłącznie jak towar, który posiada jedynie wartość rynkową. Niewiele ludzi wówczas przywiązywało wagę do tego, co dziś nazywamy dziedzictwem kulturowym.

**JSG:** Czy zainteresowanie Egiptem było modą, do której co jakiś czas wracano?

**KG:** Już w XVIII wieku interesowano się Egiptem w sensie kolekcjonerstwa. Ale dopiero Napoleon i jego ekspedycja do

Egiptu w 1796 roku, przyniosła prawdziwą fascynację tą zapomnianą egipską cywilizacją. Uczeni Napoleona wydali dużo książek o Egipcie i to była pierwsza fala tzw, egiptomanii. Łączyła się ona ze stylem w sztuce – *empire* (pocz. XIX w.) z przeważającymi elementami egipskimi w sztuce zdobniczej. Druga taka faza nastąpiła w końcu XIX wieku, za królowej Wiktorii i miała związek z odkryciami w Mezopotamii, kiedy zaczęto szukać biblijnych śladów. A trzecia faza egiptomanii przyszła w latach 20. XX w. po odkryciu grobu Tutenchamona przez Cartera. Wtedy zapanowało w Europie *art deco*, który to styl również czerpał motywy ze sztuki egipskiej.

**JSG:** Skoro Egipt jest tak przebadany, czy są jakieś tajemnice, które mogą stać się wyzwaniem dla młodych archeologów, których tak samo, jak kiedyś pana, pociągać będzie pasja przygody?

**KG:** Oczywiście, że ciągle nie wszystko wiemy o starożytności. Mamy np. w tej chwili 1500 tekstów pisanych w języku meroickim. Wiemy, że było to pismo alfabetyczne, zawierające 24 znaki. Są one odszyfrowane, znamy ich wartość fonetyczną. Możemy odczytać więc te teksty, ale nie możemy zrozumieć, co się w nich mieści i tu mamy wielką tajemnicę. Gdyby udało się znaleźć kiedyś tekst dwujęzyczny, wtedy można byłoby je porównać.

**JSG:** Skoro pan obcuje w swojej pracy na co dzień ze śladami ludzkich osiedli, świątyń, dotyka pan przedmiotów codziennego użytku, widział pan niejedna mumię, czy poprzez te strzępy historii, skorupy, kamienie zasypane prochem czasu, wygląda starożytny, zwykły człowiek? Kim on był, co lubił, o czym marzył, czego się bał człowiek sprzed 4 tysięcy lat?

**KG:** Ci dalecy w czasie i przestrzeni ludzie właściwie byli bardzo podobni do nas. Gdy czytamy egipskie teksty, to problemy starożytnego człowieka w sumie niewiele się różniły od naszych. Np. w kolonii robotników budujących groby królewskie w Tebach, znaleziono różne papirusy. Jeden z nich, to lista nieobecnych w pracy, wraz z powodami, dla których robotnicy nie stawili się. „Kłopoty rodzinne – 12 przypadków, przepity – 26 przypadków". Jakże nam to jest bliskie. To jest taka nasza wspólnota z człowiekiem z innej cywilizacji, innego regionu, z naszym praprzodkiem.

**JSG:** Ma pan fascynujący zawód, słuchałam z dużym zainteresowaniem. Nasunęło mi się szereg pytań, na temat pochodzenia człowieka i tego co odziedziczyliśmy po tych, którzy żyli przed nami wiele tysięcy lat temu. Bardzo panu dziękuje za rozmowę i życzę, aby pana zawód i życiowa pasja zawsze tak szły w parze.

———————

**Krzysztof Grzymski** *urodzony w 1951 roku w Kaliszu, ukończył II Liceum Ogólnokształcące im. T. Kościuszki uzyskując maturę w 1969 roku. Już w młodości uczestniczył w pracach wykopaliskowych prowadzonych w Kaliszu i w okolicach pod kierunkiem prof. Krzysztofa Baranowskiego. Te zainteresowania zawiodły go na studia w Wydziale Archeologii Śródziemnomorskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Stał się jednym z najzdolniejszych wychowanków profesora Kazimierza Michałowskiego, który skierował go na studia doktoranckie na Uniwersytecie w Calgary. W 1981 roku Krzysztof Grzymski podejmuje decyzję, aby pozostać w Kanadzie i oddać się pracy naukowej. Trzy lata później opuszcza Uniwersytet w Calgary i przenosi się do Toronto, gdzie w Royal Ontario Museum obejmuje funkcję kustosza Działu Cywilizacji Bliskiego Wschodu i Azji. Placówka ta stanowi wówczas część uniwersytetu, gdzie młody archeolog uzyskuje profesurę, prowadząc studia doktoranckie i magisterskie z zakresu archeologii Starożytnego Egiptu i Nubii. Jest autorem wielu wypraw i rozpraw naukowych i światowym autorytetem w dziedzinie prahistorii Nubii. Prowadził badania archeologiczne w Kanadzie, Aleksandrii, ale najczęściej pojawiał się w Sudanie, w okolicach Dongoli, gdzie co roku przez trzy miesiące pracował spełniając swe dziecięce marzenia, a światowe wydawnictwa poświęcone odkryciom archeologicznym publikowały jego artykuły. Wystawą swego życia nazywa Krzysztof Grzymski monumentalną ekspozycję milenijną w Paryżu, którą wspólnie z Christianą Ziegler z*

*Muzeum w Luwrze oraz Doroteą Arnold z Metropolitan Museum of Art, zorganizował w Nowym Jorku. „Sztuka egipska w czasach piramid" skupiła ponad trzysta eksponatów z 30 muzeów świata. Wystawę eksponowano w Grand Palaise, gdzie obejrzano ją ponad 300 tysięcy osób. Jeszcze większą publiczność – pół miliona ludzi – zgromadziła w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. Wystawa była też pokazywana w Toronto. W 2004 roku temat egipski miał swoją kontynuacje, również w Toronto.*

*Oprócz badań archeologicznych Krzysztof Grzymski pełnił funkcję Head, Department of World Cultures w Royal Ontario Museum, jest również głównym kustoszem Egiptu i Nubii w ROM, profesorem archeologii Egiptu i Nubii na Uniwersytecie Torontońskim, wiceprezydentem Canadian Institute in Egypt oraz sekretarzem komitetu egiptologicznego Światowej Rady Muzeów (ICOM – International Council of Museums) i szefem komitetu w UNESCO.*